Nr. 27. We Lwowie dnia 8. lipca 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Z PRZYGNĘBIEŃ.

I.

Wierzyłem zawsze w światła moc,
Władnącą nad mrokami.
A przecież nieraz wiarę tę
Gorżkiemi zlewam łzami.

I wstaje z morza gorzkich łez
Zjawisko wnet olbrzymie,
Nachyla ku mnie smutną twarz,
A Rozpacz mu na imię.

Nachyla ku mnie bladą skroń,
Źrenicą wabi ciemną,
Zamyka w uścisk ach! i świat
Zamyka razem ze mną.

II.

W ciemności schodzi moja dusza,
W ciemności toń bezdenną,
Pól elizejskich już nie widzi,
Zawisła nad Gehenną.

W górze nad losem mojej duszy
Boleje anioł biały,
A tutaj szyki potępieńców
Szyderczo się zaśmiały.

Szydzą z mej duszy potępieńce,
Że cząstka jasnej mocy,
Co rodzi słońca, nie ma władzy,
By złamać berło nocy.

III.

Zazdroszczę nieraz tym, co w grobach leżą,
Owianych trawy szeleszczącą ciszą:
Dusze ich, rozbrat wziąwszy z ciał odzieżą,
Jęków ziemskiego bolu już nie słyszą.

Na lotnych skrzydłach cały przestwór mierzą,
Melodjami sfer wonnemi dyszą;
W twarz zórz i słońca zapatrzone świeżą,
W promiennych blaskach pyłem blasków wiszą.

A tylko czasem schodzą na mogiły,
Oblane światła miesięcznego falą,
Cicho po trawie aksamitnej depcą

I dla tych bytów, co, stargawszy siły
W przebojach z życiem, na swój los się żalą,
Melancholijną pieśń ukojeń szepcą.

IV.

O niezgłębiona duszy toni,
Ty w ciasnej piersi mórz ogromie!
Na burzę wichr już głucho dzwoni,
Już gwiazd iskrzących gasi płomię.

Już ci palcami strasznej dłoni
Demon nawałnic sięgnął do dna —
O zachmurzona duszy toni,
Przed chwilą jeszcze tak pogodna!

Zrywasz się, jęczysz, szukasz broni,
Wał bijesz wałem śród tej męki,
Łkasz żądzą ciszy — cóż ci po niej?
W pieśń się zmieniają twoje jęki.

I pieśń ta huczy, pieśń ta dzwoni,
W rytmicznych falach okrąg nurza:
I przestwór słucha tej symfonii,
Którąć wyrwała z głębin burza.

Z dziwu wichr staje w chmur pogoni,
Tylko melodją razem dyszy:
O nawałnicą śpiewna toni,
Czemu tak bardzo żądasz ciszy?!

Jan Kasprowicz.

Dr. Władysław Matlakowski.

WPOMNIENIE POŚMIERTNE *.

»On krąg istnienia swojego rozszerzył,
Bo w nieśmiertelność swojej pracy wierzył,
W myśl kiełkującą wiecznie na ruinach,
Co w doskonalszej chodząc wciąż postaci,
Za trudy ojców potomnym zapłaci«.
Asnyk.

Żniwo śmierci znów pośród nas ścięło kłos wspaniały — po długich cierpieniach, w wiejskiej ustroni zawarł powieki ś. p. Władysław Matlakowski, rozgłośny lekarz, chirurg wielkiej ręki, badacz, mówca i pisarz znakomity. Z szeregu poważnych bojowników wiedzy ubył nam szermierz dostojny, zgasł umysł światły, co orlemi, wysokiemi loty rozległe ogarniał widnokręgi, a wielkie, szlachetne serce bić przestało. Bo w osobie zmarłego znikł na wieki człowiek, co w harmonijnem, jak rzadko, skojarzeniu głębokiego rozumu, bujnego natchnienia i nieugiętej siły charakteru był prawdziwym przedstawicielem owego klasycznej Hellady ideału *Kalos Kagatos* (piękny i dobry).

Już sama jego postać zewnętrzna dziwnie ujmujące sprawiała wrażenie. To jasne, białe, pięknie zasklepione czoło, na którem świeciła myśl głęboka i rozumna, te oczy, przecudnej błękitnej barwy, w których, obok bystrości myśliciela, gorzał żywym płomieniem zapał artysty i błyszczała przejmująca jakaś, rzewna miękkość gorącego przyjaciela ludzkości, te ślicznie zarysowane usta umiejące zacinać się surowo w poczuciu należnej dumy i godności, okolone zarazem słodkim, serdecznym uśmiechem pobłażania na zdrożności ludzkie, a pełne miłosierdzia dla nędzy i niedoli, igrające ujmującą swawolą wesołego żartu, lub wybuchające żarkim ogniem młodzieńczych uniesień, albo grzmiącą siłą niezłomnych przekonań; to wszystko razem składało się na całość oblicza prawdziwie pięknego i niezwykłego. Głos o regestrze niezmiernie bogatym, pełny, dźwięczny, w modulacjach giętki miłego dopełniał obrazu. Mowa płynąca potoczystą falą, zdolna w poważnym wykładzie naukowym gromadzić wspaniałymi zwroty olbrzymi zasób przejrzysto jasnych, logicznych wywodów, iskrzyła się też, jak ostrze noża, którym przywykł artystycznie władać, ciętą a zasadną krytyką umiejętną. W przemówieniach uroczystych mieniąca się przepychem prześlicznych obrazów i krasomówczego piękna, lała się gorącą lawą i wstrząsała natchnienia siłą najtajniejsze wszechludzkie uczucia we wrącej społecznej lub artystycznej dyspucie, a wrażając się w pamięć bogactwem swej treści, niewoliła i porywała serca słuchaczy. Był bo też Matlakowski mówcą iście z Bożej łaski.

Dodajcie do tego obejście przedziwnej prostoty i szczerości, obok skończenie wykwintnych form towarzyskich, powagę prawdziwego myśliciela, obok figlarnej, niekiedy poprostu dziecięcej pustoty, na którą tylko tak czyste serca zdobyć się potrafią, a pojmiecie, jak my, cośmy z nim przez lat wiele w bliskiem, poufnem przestawali gronie, szczególniejszy osobisty urok, jaki tę, nad wszelki wyraz ujmującą postać zawsze i wszędzie otaczał.

Pisarz wielce płodny, pracowitości niezwykłej, pozostawia po sobie Matlakowski dzieł i rozpraw naukowych szereg bardzo długi, bo w ciągu zbyt krótkiego, niestety, żywota ogłosił ich drukiem z górą siedmdziesiąt. Złożył w nich zasoby nader bogato uposażonej organizacji duchowej. Nie tu miejsce na szczegółowy rozbiór ich naukowego znaczenia; uczynić to mogą i muszą pisma specjalne; tyle tylko powiedzieć winniśmy, że historja nauki, która każdemu sprawiedliwie właściwe miejsce podług zasług wymierza, pomieści je niezawodnie w rzędzie najprzedniejszych. Cechują je bowiem znamiona pierwszorzędnej i niespożytej wartości. Sumienność o prawdę ścisłą spostrzeżeń troskliwa, spostrzeżeń zebranych ze zdumiewającem bogactwem przez niezwykle wierną i rozległą pamięć; gruntowna, prawdziwie głęboka wiedza, oparta na niezmiernie ścisłych i pracowitych studjach, jasne, dobitne, logiczne przedstawienie rzeczy, a nadewszystko to niewzruszone na każdym punkcie istotne, szczere poszanowanie prawdy naukowej, oto co tym pracom zapewnia znaczenie trwałe i doniosłe. A przytem ta szata stylowa, kryształowo-przejrzysta, ten język piśmienniczy jędrny, poprawny i czysty, tak dalece, że »pisać po polsku tak jak Matlakowski« stało się u nas szczytem pożądań autorskich początkujących pisarzy lekarskich! Jak on dostojność nauki pojmował, jaką głęboką czcią ją otaczał i jak ją całem sercem umiłował, tego świetny, wspaniały dowód, obok wielu innych, złożył w okazale założonym, głęboko pomyślanym, a umiejętnie wykończonym życiorysie prof. Hoyera (Księga jubileuszowa temuż ofiarowana). Kto w taki sposób mistrza swej nauki uczcić potrafił, ten piękny duszy własnej pomnik pozostawił?

Z zawodu i zamiłowania chirurg, tej gałęzi umiejętności lekarskich przeważną liczbę prac swoich poświęcił, a są między niemi i opisy metod operacyjnych i rozbiory rzadszych a cięższych chorób chirurgicznych i roztrząsanie teorji naukowych i całe szeregi świetnie opracowanych spostrzeżeń szpitalnych i wspaniałe odczyty, wygłaszane na zjazdach lekarskich.

Lecz temu bogatemu duchowi w jednej sferze było za ciasno! On, party żywiołową mocą twórczości i pracy, w inne jeszcze rozległe mu-

* Dr. Aleksander Fabian w warszawskiej »Gazecie Polskiej« nr. z 1. lipca br.

siał sięgać obszary, znacząc znamienite ślady w dziedzinie estetyki, filozofji i poezji.

Kiedy już złowroga zdradziecka choroba wygnała go z ukochanego przezeń szpitala, gdzie dzielną dłonią i gorącem sercem niósł pomoc umiejętną licznym chorym rzeszom, gdzie młodsze pokolenie lekarzy słowem i czynem, nauką i przykładem zagrzewał do wiedzy, do pracy zachęcał, do ciężkiego, a pięknego zawodu sposobił, kiedy niknące siły zmusiły go do usunięcia się od zajęć lekarskich, szukał schronienia i wypoczynku na łonie natury tatrzańskiej. Lecz tylko fizycznego zażywał tu niekiedy wczasu. We wspaniałem otoczeniu skał niebotycznych i rozległych przestworzy, duch jego lotne znów roztoczył skrzydła, a bystra obserwacja, skojarzona z szeroko rozwiniętem poczuciem estetycznem i gorliwą pracą złożyła się na stworzenie dwóch dzieł wspaniałych: »Budownictwo ludowe na Podhalu«, wydane w r. 1892 w Krakowie przez Akademię Umiejętności i złożona tejże Akademji »Ornamentyka ludowa u Podhalan«.

Rzecz wysoce znamienną dla niezwykłej głębi i świetnej filozoficznej wprawy Matlakowskiego, stanowi jego zajęcie się Shakespeare'm, którego »Hamleta« przełożył wierszem nierymowym i opatrzył obszernym wstępem, wyjaśnieniami i przypiskami. Kto się bo z tym myślicielem nad myślicielami, z tym znawcą najgłębszym serc i myśli ludzkich tak ściśle duchowo zespolić zapragnął i tak go sobie przyswoił, że psychologicznie zapewne najwspanialszą jego kreacją zdołał własnemi słowy w skończonej poetyckiej formie odtworzyć?

Chyba tylko umysł pokrewny, rozległy, wspaniały! Jedna boleśnie smutna okoliczność łączy się z wydaniem tego dzieła, które wyszło w Krakowie w r. 1894, czcionkami tłoczni uniwersytetu Jagiellońskiego, w części z zapomogi kasy imienia Mianowskiego, a liczy oprócz wstępu str. 420. Oto pierwsze egzemplarze tej wspaniałej księgi, świadczącej po wszystkie czasy o świetności umysłu, estetycznem poczuciu, a zarazem niezmordowanej pracy zmarłego, przybyły do kraju, kiedy już jej twórca w Zbijewie ostatnią ze śmiercią staczał walkę; przyjaciele zawieźli mu ją, aby przedzgonne chwile widokiem dzieła dokonanego rozjaśnić. Gasnąca źrenica spoczęła spoczęła na tym ostatnim płodzie pracowitego żywota!

Lekarz bystrego oka, obeznany najdokładniej ze wszystkiemi metodami naukowego badania, obdarzony niezwykle delikatnemi zmysłami i jasnym krytycznym poglądem, Matlakowski w szybkim czasie stanął na wyżynie doskonałego djagnostyka, a do artyzmu wyćwiczona ręka uczyniła go niebawem zręcznym technicznie operatorem; zimna krew, a zarazem śmiałość, oparta na doskonałej znajomości metodyki i głębokiej wiedzy ogólno lekarskiej, stworzyły zeń chirurga w całem znaczeniu dzielnego, twórczego i postępowego. Szpital dla Matlakowskiego był wszakże nietylko niewyczerpaną szkołą ciągłego doskonalenia własnego i kształcenia młodszych chirurgji adeptów, którym z całym zapałem swego ognistego do pracy zamiłowania i z niewyczerpaną gorliwością drogę do istotnej wiedzy teoretycznej i praktycznej torował, ale prawdziwą świątynią czynnego miłosierdzia, gdzie dłoń i serce pracowały społem by nieść opiekę i pomoc cierpiącym. To też nie było ofiary, którejby nie poniósł, nie było trudu, któregoby się uląkł dla postawienia oddziału szpitalnego na stopie możliwie jaknajdoskonalszej.

W kołach lekarskich szerokich i w bardziej zwartem gronie, w *Gazecie lekarskiej* i Towarzystwie lekarskiem, Matlakowski, surowy wyznawca nieskalanej cnoty, gorący czciciel prawdy i myśli dostojnej, wytrwały pracownik, sam jak brylant bez skazy, był też zawsze żywiołem uszlachetniającym, podniosłym, ożywczym, co własnego zapału gorejącym blaskiem i swego ducha promienną jasnością porywał, pobudzał, pociągał.

Pamięć też o nim długo nie zaginie, bo on należał do tych dusz świetlanych, o których natchniony poeta powiada, że:

»Chociaż się w ciemność rozproszą — nie zgasną
Ale dalekiej przyszłości zniknioną
Przekażą siłę i słoneczność własną«.

„PRZY TOBIE".

Dokończenie

Długi i mocny ten sznur od szlafroka. Jedna chwila... Położą tuż obok. Te same robaki, co jego duszę pożarły i mnie...

Ale wpierw muszę to widzieć. Muszę na własne oczy widzieć, że z jego duszy, z jego istoty — z miłości tej mojej — robactwo... robactwo... robactwo...

Matko, odkopcie go! Prędko — prędzej! Muszę go widzieć, muszę rękami dotknąć... te robaki! A potem połóżcie sobie nas razem... razem. Słyszysz? — razem! Bo on już umarł. Wiesz? Dziś rano umarł — zobaczyłam, że umarł... bezpowrotnie, bez nieśmiertelności. Wiesz? Kupa robactwa — nic więcej, żadnego innego śladu. Ot taka wielka! W mózg mi się wpiła — wypija ze mnie mózg... Oh! matko!...

Wzięli ją na ręce, ponieśli na łóżko, jak bryła śniegu zaciężyła im na ramionach — sztywna, zmartwiała, bieluchna. I rozpoczęło się długie pasowanie śmierci z życiem. Noc wydzierała ją chciwie bladym, tlejącym gdzieś w głębi promykom.

Ale gdy wiosna wróciła i powiały wonne, ciepłe tchnienia, wyprowadzono ją do ogrodu, chwiejącą się jeszcze i bladą, ale już wydartą śmierci, najczulszemi staraniami przykutą znowu do życia. Zbolałą piersią odetchnęła głęboko, powiodła dokoła zdumionemi oczami, opuściła się na krzesło i zadumała się.

Dumała tak długo, ciągle, całymi dniami, póki wiosenne powietrze nie uśpiło. Matka, która przez jedną tę zimę zbielała i zmarszczkami się okryła, patrzyła na nią rzewnie, z wyrazem słodkiego tryumfu. Pierś jej dziecka oddychała tak równo i na policzki występował we śnie rumieniec. Gładziła leciutko jej włosy, kładła kwiaty na kolanach i bojąc się zbudzić pocałunkiem, oddalała się na palcach. Ale lekarz odchodził codzień z pochmurną twarzą i na wszelkie pytania miał jedną tylko odpowiedź:

— Zobaczymy — czekajmy jeszcze.

Raz wziął jej dłonie w swe ręce i probując strofować, powiedział z życzliwym uśmiechem:

— Trzeba się czemś zająć — tak nie można. Jakie zajęcie lubisz pani najlepiej?

Zakłopotana szukała w myśli. Nie, nic, nic nie lubi. Niechże ją tak pozostawią, niech pozwolą nic nie lubić, o niczem nie myśleć. Wszak to niby nie istnieć.

Pewnego dnia przyszedł w towarzystwie nieznanego mężczyzny.

— Czy nie za silne? — pytała z niepokojem matka, zastępując mu drogę.

— Sprobujmy — powiedział — milczenie ją zabija.

— Przyprowadzam pani znajomego, niegdyś kolegę jej męża.

Pierwszy raz to imię głośno przy niej wymienione zostało.

Czy nie pojmują, że jest to pchnięcie nożem? Po co mącić tę wielką ciszę — ciszę absolutnego grobu. Czegóż »ten« może chcieć jeszcze od niej? Nie powie jej nic nowego.

Przez cały wieczór milczała, nie biorąc w ogólnej rozmowie udziału. Jednak jakieś pytanie wisiało jej na ustach. Gdy zostali sami, spytała szybko, cicho, z nagłym rumieńcem na twarzy:

— Znałeś go pan dobrze, zblizka?

Potwierdził.

— Czy nie mógłbyś pan mi wytłomaczyć? I podała kartkę.

— Garść zboża! Jakże, pamiętam. Tak był tem pochłonięty swego czasu.

I czując płonące wejrzenie z niepokojem w twarz swą wbite, opowiedział krótki, błahy wypadek, który jednak miał swe następstwa. Kiedyś, znajdując się na zamiejskiej wycieczce, byli niemal świadkami zdaleka podrzucenia niemowlęcia przez matkę. Zanieśli je do przytułku. Odtąd to nieszczęśliwe, nędzne, bezsilne stworzenie, skazane na pastwę wszelkiego wypadku, nie wychodziło mu z myśli. Parę razy dowiadywał się nawet o nie. Brano go za ojca. Ale to nie prawda. Prawdą było, że stał się nagle duchowym ojcem wszystkich nieszczęsnych porzuconych niemowląt. W intencjach naturalnie. Marzył o zużytkowaniu tego materjału na najszerszą skalę, o utworzeniu z tej siły, najczęściej marnie ginącej, czegoś kolosalnego, czegoś, co mogłoby z czasem stać się kamieniem węgielnym społeczeństw — więcej, ich drogą wytyczną. Myśl ta prześladowała go niemal do maniactwa. Zajął się pedagogją, przeczytał mnóstwo dzieł w tym przedmiocie, zwiedzał domy podrzutków, przytułki, ochronki. Chciałby z zakładów podobnych stworzyć wzorowe instytucje pedagogiczne, gdzie wychowanie, poczynające się od pierwszych dni życia, nie kończyłoby się aż do dojścia pełnoletności. Żadne prywatne interwencje nie zakłócały takiego wychowania, doprowadzonego do możebnej doskonałości, niezastygłego jednak, lecz przekształcającego się ciągle w miarę postępów pedagogji, w miarę rozwoju wieku. Nie istniałyby żadne pretensje »właścicieli« dzieci, żadne uboczne wpływy rodzin i stanów. Wychowańcy z chwilą wstąpienia do zakładu znaleźliby się odrazu po za obrębem wszelkiego zepsucia, wszelkich fałszywych sytuacji, nędzy moralnej i materjalnej; kultura dawałaby im tylko czyste owoce. Etyka powinna była mieć zastosowanie na najszerszą skalę, iść ręka w rękę z rozwojem sił umysłowych. Przy uwzględnieniu, więcej, pielęgnowaniu indywidualności — wysoko pojęta zasada uspołecznienia. Sam zakład stałby się żywym przykładem życia społecznego z jednej strony, z drugiej — rodzinnego, z jego ciepłem serdecznem i przywiązaniami. Wychowańcy nie powinni niczemu zazdrościć, niczego żałować. W chwili, gdy doszedłszy dojrzałości, opuszczać będą dom taki — powinni opuszczać go ze łzami, jak dom rodzinny, z nadzieją, że w koleji dalszych losów, w gorzkich swych chwilach zawsze uciec doń będą mogli — po ciepło, jeśli potrzebować go będą, po pomoc, jeśli obejść się bez niej nie potrafią. Zakład ma mieć znaczenie nietylko szczególne, dotyczące jedynie wychowawców, lecz stać powinien ogółowi jako wzór pedagogiczny, jako wzór ludzi przyszłości. Każde z tych niebieskich, jak je zwał, ziarnek zboża, przeznaczonych dzisiaj na zmarnowanie, tu zostanie wypielęgnowane, wyrośnięte w kłos bujny, zawierający w sobie pewną sumę ściśle dodatnich przymiotów, posiadającą prócz tego siłę wydajną, impuls do czynu. I gdy po opuszczeniu zakładu ta garść bujnego zboża rozsypie się wśród społeczeństwa — przyjdzie z nią, przyjść musi, pierwszy ranny posiew przyszłości...

Zamyśliła się. Dziwna, nigdy jej o tem marzeniu młodzieńczem nie wspomniał. Czy był już tak dalekim od niego, czy może uczuwał tę drażliwość, jaką zwykle budzi wspomnienie nieurzeczywistnionych marzeń? Więc i on miał swoje chwile w młodości, gdy współczucie nie-

doli chciało w czyn się urobić? Więc i on czuł potrzebę czynu, pożądał go?

Był zawsze taki smutny, tak posępnie rozgoryczony. Na wielkie zło — wielkie środki, a gdy tych nie ma — cóż pozostaje, jeśli nie milczenie stoika? I potrafił zamknąć się w sobie, potrafił bez skargi — milczeć. Lecz w głębi jego duszy była jakaś rana, o której jej nawet nie mówił, którą tylko odgadnąć starała się — ciemna, sącząca, codzień otwierająca się. Ona to czyniła go takim smutnym, tak ciągle wyrywającym się ziemi, jakby go tu już wszystko do ostatka, tak, do ostatka zmęczyło. Lecz pierwej — wtedy — nie musiał być takim. Miał swoje gorące, szerokie marzenie czynu, żywego czynu. Czemu później porzucił to marzenie? Czy nawet w całej swej rozciągłości wydało mu się za małem, czy niewłaściwem? Nie lubił półśrodków nigdy, ani półdziałań, ani półkroków. A jednak... Robota każdego pokolenia... nie wierzył w nią, jak nie wierzył w nieomylność dróg, które nie widzą przed sobą jasno postawionego celu. A jednak...

Był czas, gdy marzył o tem. Stworzył zamiar i wierzył weń. Gdyby była możność urzeczywistnienia, czy nie kusiłby się o nią? Poświęciłby mu wszystkie swe myśli, wszystkie swe siły; gorące serce jego tak czułoby się szczęśliwem, garnąc ku sobie tych wszystkich porzuconych, wydziedziczonych. Niebyłby już smutny, ani rozgoryczony, rana jego piersi nie krwawiłaby ciągle.

I nie straciłaby go tak bez śladu, tak okrutnie bez śladu, nie przeszedłby bez cienia...

Długo w noc snuła podobne myśli. Zdało jej się, że skądś, z daleka — z daleka — przypływają ku niej jego dawne, gorące, młodzieńcze marzenia, jego pragnienie czynu i wiara w czyn. Za mną, za mną, za mną — wołały ku niej i same leciały naprzód. Myśmy silne, żyjące, młode, przy nas przyszłość i światło, przy nas życie — wieczne, potężne, nieśmiertelne.

Czuła, jak te głosy porywają ją za sobą, jak musi lecieć za nimi ku życiu wszystko ogarniającemu, wszechwładnemu. Przy nas prawda i życie, nieśmiertelność przy nas!

Niby powiew jakiś ogarnął jej skronie, niby geniusz w przelocie skrzydłami o serce jej musnął — zdało się jej, że w tem sercu coś nagle porwało się ze snu i drgnęło życiem.

— To ty, to ty przychodzisz — szeptała — ty nieśmiertelny, żyjący, ty — w czynie! Nareszcie! Tyś przy mnie — przy mnie...

W myśli jej mknęły obrazy, jak obłoki w żywym przelocie, jasne, słoneczne, szybkie. Dom pełen niemowląt, piastunki, ogrody Frebla, szkoła, młodzież. Dokoła niej wre życie, żywe, źródłem bijące, pełne nadziej przyszłości. Ona i grono pomocnic — praca, z wiarą w jej korzyść — i zewsząd szczęście, uciecha, miłość. Wielka, długa, pochłaniająca działalność, droga ku niej bardziej jeszcze mozolna — wszystko, co posiada, w nią rzuci. Nie odstręczy jej ani praca, ani trud, ani czas. Nie cofnie się przed niczem; nie powie sobie nigdy: to niemożebne. Nie stanie — aż zdobędzie.

Jak duszno! Żarem wieje czerwcowa noc przez otwarte okna. Krew tętni w żyłach i serce porywa się. Wstaje — i cicho, szybko biegnie do jego gabinetu. Tam z pod wieńca, z półmroku letniej nocy witają ją wejrzeniem miłe, rzewne oczy. Takim był wówczas. Wpatruje się; oczy zachodzą mgłą, pochyla głowę i gorącem czołem przypada do ramy portretu.

— Luby mój, a ja myślałam, że nie znajdę ciebie, że nie przyjdziesz do mnie. Przebacz, jedyny! Byłam tak nieszczęśliwą. Myślałam, że cię już niemam, a ja tylko znaleźć cię nie mogłam. Teraz wiem, że byłeś, że jesteś i zawsze już pozostaniesz przy mnie. Nie zaginęły twe myśli, ani twoje serce wielkie. Przez wieki wieków trwać będą. »Garść zboża« urośnie, nie zdepczą jej przechodnie. Każde z tych ziaren wołać będzie do ciebie, głosić twe imię światu. Szeroko, daleko padnie twój cień. Będę to słyszeć i widzieć. I będę czuć, że jesteś zawsze na ziemi, przy mnie. Będę codzień zasypiała pod skrzydłem twej myśli, w promieniu twojej miłości. Teraz nas śmierć już nie rozdzieli, teraz jesteśmy jedno — jedna myśl, jeden czyn. Coś ty rzekł, ja spełniam. Jedyny mój — odtąd tyś przy mnie na wieki... I patrz — miłość od śmierci silniejsza!...

W. Dalecka.

Zapomniane hasła.

(Mowa Robespierre'a w sprawie powszechnego głosowania, w zgromadzeniu narodowem 25. stycznia 1790.)

(Dokończenie).

Proponowany bowiem przez was system wpada w najniedorzeczniejszą sprzeczność i uważając, z jednej strony, bogactwo za miernik praw obywatelskich, z drugiej strony odstępuje od tej zasady pod tym względem, iż prawa te łączy z opłatą podatków tylko bezpośrednich. A przecież każdemu musi się to rzucić w oczy, iż człowiek, płacący znaczne podatki pośrednie, może posiadać większy majątek od tego, kto tylko mierny bezpośredni podatek opłaca. Ale zresztą, w ogóle nigdy niepodobna uświęcone prawa człowieka uczynić zależnemi od chwiejnego systemu finansowego, który nawet w różnych częściach naszego państwa jest odmienny i rozmaity. Cóż to za system, wedle którego człowiek, w jed-

nym punkcie ziemi francuskiej będący obywatelem, traci to obywatelstwo w całości lub części, przenosząc się do innej miejscowości, albo znowuż ten, który dziś z praw obywatelskich korzysta, jutro nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności obywatelem być przestanie? Cóż to za system, przy którym człowiek uczciwy, pozbawiony swego mienia przez nierzetelnych wyzyskiwaczy, spada do rzędu helotów, podczas gdy inni zapomocą zbrodni obywatelską zyskują godność; przy którym u ojca rodziny, w miarę, jak przybywa mu dzieci, rośnie pewność, iż wraz z maleńkiemi cząstkami rozdrobnionego dziedzictwa nie przekaże im praw obywatelskich; przy którym w połowie państwa dzieci nie mają ojczyzny, dopóki żyje ich ojciec!

. . . .

Ale zwróćcie uwagę, do jakich osobliwych następstw prowadzi wielki błąd zasadniczy, który popełniliście. Najelementarniejsze zasady sprawiedliwości zmusiły was do obmyślenia środków, któreby do pewnego stopnia złagodziły złe skutki cenzusu wyborczego. Zapewniliście czynne prawo wyborcze wojskowym, którzy wysłużyli określoną liczbę lat. Też same prawa przyznaliście osobom stanu duchownego, gdy nie są one w stanie dopełnić tych warunków materjalnej natury, które stawią wasze dekreta. Tak samo postępujecie i w innych podobnych wypadkach. Ale wszystkie te postanowienia, aczkolwiek same w sobie sprawiedliwe, są nieloiczne i naruszają elementarne zasady konstytucji. Jakto! wy, którzyście skasowali wszelkie przywileje, czynicie z praw obywytelskich przywilej niektórych osób i stanów? Jak możecie dobro, które należy do wszystkich bez wyjątku, nadawać niektórym, jako nagrodę? Jeżeli zaś, prócz duchowieństwa i wojska i inne stany w państwie również nie są bez zasługi, to na tej samej zasadzie i im się taka łaska należy. A skoro ta łaska ma iść w parze z zasługą, to z jakiej racji ma ona być dziedziczną własnością bogaczy?

Z drugiej strony, z pozbawienia prawa wyborczego zrobiliście karę dla przestępców i to karę za zbrodnie największe, za obrazę praw narodu. Kara ta uznaną została przez was za tak ciężką, iż ograniczyliście czas jej trwania i umożliwili winowajcy jej odpokutowanie zapomocą jakiegokolwiek wzniosłego uczynku. A równocześnie pozbawiliście prawa tego wszystkich obywateli niezamożnych i nie opłacających pewnego podatku.

Z zestawienia zatem ustaw waszych wynika, że do jednej kategorji z tymi, co na szczęście i wolność narodu godzili, zaliczeni są i szlachetni obywatele, obrońcy wolności, którym los nie sprzyjał, albo którzy, służąc ojczyźnie, z fortuny korzystać nie chcieli. Pierwszym, t. j. złoczyńcom nawet sprzyjacie bardziej, gdyż, skoro tylko raczą oni zawrzeć z narodem pokoj i zechcą korzystać z dobrodziejstw wolności, zwracacie im wszystkie prawa obywatelskie, podczas gdy drudzy pozbawieni ich zostają na zawsze i mogą je odzyskać pod jednym tylko warunkiem, spełnienie którego nie w ich wyłącznie mocy spoczywa. O nieba sprawiedliwe! prawodawca stawi genjusz i cnotę niżej od bogactwa i zbrodni!

. . . .

Prawdziwą i trwałą podstawą wolności są obyczaje narodu. Jakież jednak obyczaje mieć może lud, którego ustawy ku temu zmierzać się zdają, by popierać jaknajsilniej żądzę bogactw? Wasze ustawy, piętnując godne szacunku ubóstwo i oddając wszelką cześć oraz władzę bogactwu, właśnie tę namiętność krzewią. Przy takim ustroju szlachetna ambicja, szukająca sławy w pracy dla ojczyzny, wyradza się w chciwość i krętactwo, a konstytucja zabija wszelką cnotę... dając obywatelom tę jedną, godną uwagi, naukę: starajcie się za jakąbądź cenę stać bogaczami, inaczej będziecie niczem!

Teraz chyba już się łudzić nie będziecie, iż wykształci się u nas duch obywatelski, od którego zależy odrodzenie Francji, skoro najliczniejszą warstwę narodu wyłączacie od spraw publicznych i skazujecie na to, by wszystkie swe myśli i skłonności poświęcała swym interesom prywatnym i rozrywkom, t. j. gdy pielęgnujecie egoizm i lekkomyślność na gruzach użytecznych talentów i wzniosłej cnoty, jedynej strażnicy wolności. Nie ostanie się długo konstytucja, stanowiąca pod pewnym względem własność jednej tylko klasy, a dla innych obojętna lub będąca przedmiotem zawiści i poniżenia. Prędzej lub później będzie ona musiała uledz, gdy ją zaczepi wróg zręczny i w siłę zasobny. Już obecnie łatwo jest przewidzieć następstwa, które sprowadzić muszą wasze rozporządzenia, jeżeli je utrzymać zechcecie. Przy prawyborach i wyborach ujrzycie próżne sale, gdyż wasze dekrety usuwają od życia publicznego najliczniejszą klasę obywateli. A znowu większość tych, którzy tu znajdą dostęp, jak obywatele, płacący podatek równy trzechdniowemu zarobkowi, powołani tylko do wyborów, ale nie mający prawa pełnić urzędów, piastowanych na mocy zaufania współobywateli, ci ludzie nie bardzo skłonni będą do opuszczenia swych zajęć i rodzin po to tylko, aby uczestniczyć w zgromadzeniu, nie dającem im tych praw, ani budzącem w nich tych nadziei, które inni, lepiej uposażeni obywatele, posiadają. Przybędzie tylko niewielu po to, aby swe głosy sprzedać. Staną się oni pastwą małej grupy intrygantów, którzy między sobą podzielą urzędy i ze swego łona dadzą Francuzom prawodawców, sędziów i urzędników. A ci, znajdując się pod wpływem dworu, mającego na rozkazy siłę zbrojną, będą szafować majątkami, dobrodziejstwy i urzędami i decydować o liście cywilnej, sięgającej co najmniej 35 miljonów. A gdy widzicie, jak ten dwór kró-

lewski na każdem posiedzeniu ucieka się do coraz to nowych, nieprzebranych wykrętów, znajdując pomoc u wszystkich arystokratów, jawnych i ukrytych, którzy, prawiąc o duchu obywatelskim, usiłują stłumić głos narodu, zbyt lekkomyślnego, zbyt zarozumiałego i zbyt mało świadomego swych praw, aby poznać się miał na zamysłach swych nieprzyjaciół, ich interesach i wartości; gdy widzicie, jak dwór korzysta ze swej złowieszczej przewagi wobec tych członków ciała ustawodawczego, którzy nie ulegli jeszcze korupcji i nie bronią jego interesów; gdy widzicie, z jaką łatwością, która zresztą nie zadziwi nikogo, kto od pewnego czasu śledzi postępy niebezpiecznych zamysłów i nieszczęsnych intryg dworu, z jaką łatwością dwór ten igra losami Francji — gdy sobie zdacie ze wszystkiego tego sprawę, musicie być przygotowani na to, iż albo despotyzm wszystko upodli, zepsuje i pochłonie, albo też raczej wy postanowicie przywrócić ludowi jego prawa a duchowi publicznemu zupełną swobodę, której on dla swego życia i rozkwitu potrzebuje.

. . . .

OGNIWA.

Przez

Elizę Orzeszkową.

(Dokończenie).

Potem znowu przy zwolna oddalającym się śpiewie, chorągwie, pochodnie i za wozem wspaniałym długi szereg par ludzkich, postępujących powoli, w żałobie grubej, ale strojnej. Ciężkie suknie kobiece, wlokące się po bruku ulicznym krepy czarne ściekające od głów aż do ziemi, przepaski czarne na błyszczących kapeluszach męskich, w rękach ociągniętych czernią książki z modlitwami, jaśniejące na oprawach kością słoniową i złotem. Takich par szereg długi ciągnął pośród dwu rzędów pochodni zapalonych i dwu sznurów ludności tłumliwej, cisnącej się na chodnikach i brzegach ulicy.

Był to jeden z najwspanialszych i najbogatszych pogrzebów, jakie w tem mieście odbywały się kiedykolwiek.

Przez duże szkła okularów i perspektywę wązkiej ulicy Berek spokojnie patrzał na orszak przeciągający i czasem tylko w zamyśleniu potrząsał głową. Lecz gdy parę wyrazów wypadło z tłumu ulicznego i o słuch jego potrąciło, drgnął, wyprostował się i zaczął zapytywać, sam nie wiedząc kogo:

— *Wos? wos? wer?* kto taki? graf! jaki graf? co to jest? kto to umarł? czyj to pogrzeb?

Z temi pytaniami tłoczącemi się na wargi bezkrwiste znalazł się na chodniku i przechodniowi jakiemuś zagrodził drogę.

— No cóż? Nie zatrzymuj mię żydzie! Czyj to pogrzeb? Hrabiego Strumienieckiego pogrzeb! Więc cóż? czego trzymasz mię jeszcze za połę? Którego Strumienieckiego? Ojca... ojca... starego hrabiego Ksawerego?... Puszczaj, bo mi pilno!

Puścił połę przechodnia, głowę w tył przechylił i patrząc na błękitny pas nieba, mówił, prawie krzyczał:

— On umarł? pan graf Ksawery umarł? Jak to może być? Dlaczego on umarł? on był całkiem zdrów, kiedy do mnie przychodził! On kiedyści taki młody był, i taki piękny, i taki wesoły, a teraz on umarł? Zkąd to wzięło się, że on umarł?

Przechodnie, śpieszący dla ujrzenia pogrzebu wspaniałego potrącali go i ze zdziwieniem oglądali się na starca, który przez wielkie okulary patrząc w samo niebo, ze sterczącą brodą srebrną, zawodził lament brzmiący zapytaniami. Zapytywał niewiedzieć o co i niewiedzieć kogo. Ktoś rozmachliwie idący odtrącił go aż pod ścianę domu; parę żydowskich podrostków przebiegając krzyknęło: *Sieh! sieh! a myszugener!* Ale wszystko to nie trwało długo, bo stary żyd, porwany jakąś nieprzemożoną siłą począł biedz, jak tylko mógł, w stronę, w którą pociągnął orszak pogrzebowy. Rękoma zgarniając dokoła nóg odzież długą, biegł z chodnika na chodnik, z ulicy w ulicę, przygarbiony, z żylastą szyją wyciągniętą naprzód, ze sterczącą kądzielą srebrnej brody. Śpieszył ogromnie. O niczem nie myślał, tylko o dopędzeniu orszaku pogrzebowego; innej chęci nie czuł, tylko tę jedną.

Orszak posuwał się powoli, dopędzić go nie było bardzo trudno. Berek wkrótce wpadł w jego szeregi ostatnie, ale się tem nie zadowolnił. Biegł jeszcze, zręcznie prześlizgiwał się wśród tłumu, gdzie ten najgęstszym był, robił nawet pięścią,. aż znalazł się obok pań i panów idących parami za trumną.

Krewni zmarłego blizcy i dalecy, przyjaciele rodziny, znajomi najbliżsi, starzy i młodzi, wysocy i nizcy, piękni i szpetni, lecz wszyscy wytworni w żałobie grubej, nieco sztywni w pozorach nastroju uroczystego. Ciężkie suknie kobiece wlokące się po bruku, krepy czarne spływające od głów aż do ziemi, przepaski czarne na błyszczących kapeluszach męskich, modlitewniki błyszczące od złota w rękach ociągniętych czernią, splecionych nabożnie. Za nimi turkot nieprzejrzanego szeregu powozów i tupot po bruku szarej masy pospólstwa trzymanej w oddaleniu.

Na chodnikach, z dwu stron wozu obleczonego kirem i szeregu par ubranych w żałobę,

słały się dwa szlaki bruku ulicznego puste i oblane blaskiem słońca. Berko zwolnił kroku i zaczął iść po jednym z tych pasów, równolegle ze sznurem pań i panów. Oni szli równo i uroczyście, on dreptał i czasem potykał się o kamienie. Na tle ich strojów czarnych jego wyszarzała odzież wyglądała jak łachman, porzucony w rynsztoku. Na czapce spłaszczonej nie miał krepowej przepaski, a z pod daszka wykrzywionego widać było czarne linje okularów przerzynające pomarszczoną skórę czoła i skroni. Wyglądał jak kropla, która wytrysnęła z szarej masy trzymanej w oddaleniu i upadła tuż za trumną ociekającą srebrem, obok kirów ciężkich i wytwornych.

Ale szedł. Może zwracano na niego uwagę i dziwiono się, skąd się wziął i po co idzie, ale on szedł. Na czele orszaku, w powietrzu promiennem wznosiły się wysoko ciemne linje krzyża i brzmiał uroczyście śpiew kościelny; on jednak szedł. Wkrótce zaczął sam myśleć:

— Nu, zkąd ja tu wziął się? czego ja leciał jak szalony? czego ja idę?

Ale szedł. Dopóki szedł i przebijał się przez tłumy, nie myślał o niczem, party uczuciem, które było siłą instynktowną, niejasną, lecz niezmożoną. Teraz począł dziwić się samemu sobie i temu, za którego trumną dreptał obok krewnych i przyjaciół najbliższych, potykając się o kamienie.

— Nu, czego on wtedy siedział u mnie kilka godzin, prawie całą noc? Czego on ze mną rozmawiał, jak z bratem? Czego ja za tym wozem leciał, jak dowiedział się, że to on na nim jedzie? czego ja teraz za nim idę?

Tak myślał, dziwił się coraz więcej jemu i sobie, ale szedł.

Za miastem stało się przestronno, promiennie, czysto, świeżo. Pola z zieloną runią rozłożyły się ze stron obu, młode brzozy zasrebrzyły się kosą białą i zaszemrały kaskadami listków młodych; wiatry lekkie latały w złotem powietrzu, roznosząc wonie ziół dobywających się z ziemi, rzeka błysnęła w pobliżu błękitem tak gorącym, że z za wzgórzy falistych wydawała się spadłym kawałkiem nieba.

Berek od bardzo dawna już nie opuszczał miasta, a teraz, gdy tylko je opuścił, powiało nań Strumienicą. Wiatr, brzozy, promienie rozsiane w powietrzu szeptały mu w oba uszy: Strumienica! Strumienica! Stoi przy płocie dziedzińca, patrzy na takie same brzozy, na taki sam kawałek wody błękitnej i słucha, jak ptak w lesie kuka...

Oczy wlepił w trumnę ociekającą srebrem.

— To był początek twój i mój...

Przez bramę na oścież otwartą orszak wszedł na cmentarz i wśród mogił, usianych fjołkami, rozsypał się po lesie grobowców i krzyży. Wtedy Berek, uderzony wielkiem strwożeniem, przystanął, a gdy fala ludzka przepłynęła, pozostał samotnym. Cmentarz był pełen drzew: stary żyd wsunął się pomiędzy brzozy i z głową zwieszoną, z palcami rozpostartemi u rąk obwisłych, błądził przez chwilę pod gałęźmi płaczącemi, myśląc, nawet mrucząc półgłosem:

— Nu, czego ja tu przyszedł? zkąd ja tu wziął się? czego ja tu wlazł?

Ale nie odchodził i czuł, że pomiędzy nim a trumną spuszczaną do ziemi kowal niewidzialny kuł ogniwa niespodziane.

U przeciwnego końca cmentarza stała pstra masa ludzi, wzbijały się śpiewy uroczyste, promieniał krzyż na grobowcu wysokim. Żyd ze spuszczoną głową dreptał pośród brzóz i rozmawiał z samym sobą... Brama cmentarza była ciągle otwartą na oścież, ale on nie odchodził; nawet usiadł pod brzozami...

Pod brzozami płaczącemi ulewą drobnych liści, śród pni białych nad mogiłą nakrapianą fjołkami, szarzała postać starego żyda, przysiadła do ziemi, w czapce spłaszczonej, w wielkich okularach z rogową oprawą, ze srebrną kądzielą na piersi.

Cmentarz staczał się po wysokiem wzgórzu nad rzeką, za którą leżały pola zielone i piaski żółte.

Żyd wyciągnął szyję i patrzał na piaski.

— Co to jest? — zamruczał — co to ma znaczyć? czy to on? ja nie wiedział, że jego ztąd można widzieć!

Na żółtych piaskach majaczyło miejsce jedno, obwiedzione murem nizkim i napełnione kamieniami sterczącemi. Nie było tam, jak tutaj, ani drzew ani grobowców; nic, tylko mnóstwo kamieni sterczących, w blasku słońca czerwonawych i dokoła żółte piaski. Cmentarz żydowski.

Berek oparł łokieć na kolanie, twarz na dłoni i kiwał się powoli to w tył, to naprzód, w takt kowadła, które pomiędzy nim a trumną zasypywaną piaskiem kuło ogniwa niewidzialne. Zcicha mówił;

— Tu jest koniec twój i mój!

Przestał mruczeć, ale siedział jeszcze pod brzozami, szary w zieloności otaczającej, śród świegotu ptastwa, nad mogiłą nakrapianą fjołkami.

A dwa cmentarze, jeden cały w drzewach i krzyżach, drugi ze sterczącymi kamieniami na piaskach żółtych, jedno wspólne niebo skuwało ogniwem wysokiem i szerokiem...

PRO MEMORIA.

10. lipca 1863. Zmarł z ran w Poznańskiem Kazimierz Mielęcki jeden z wybitnych dowódzców powstania.

11. lipca 1863. Powstańcy stoczyli świetną bitwę pod Słowatyczami.

13 lipca 1794. Rozpoczęło się oblężenie Warszawy przez połączone wojska moskiewskie i pruskie.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.